

Bzy

Jak mam opowiedzieć o pięknie. Jak wydobyć poezję, która płynie przez świat niewidocznym strumieniem i wchodzi w pęknięcia chodników, chropowatości murów, w zdrapane kolana, potłuczone butelki, niebieskie przejaśnienia, w krzywizny horyzontu.

Wiesz, kiedy rano się budzę, to próbuję sprawić, aby pierwszym uczuciem dnia była wdzięczność. Zastanów się nad tym, przeniknij myślą magię początku i poczuć się ważny. Z lekkiego zapachu wyspanej pościeli wykluj się do dnia w pokoju, otwórz okno, wejdzie wiatr, niech urosnie ci w płucach wezwanie. Nie bądź głuchy, choć wiem, jak ciężko, kiedy tyle nosisz w sobie kamieni; chrzęszcząc, kiedy chodzisz, z uszu ci wystają. Ale poranek zawsze do nas przychodzi, a noce bywały długie i wtedy myśleliśmy: nie ma już wschodów. A kiedy słońce jednak rumiane na niebo wchodziło, to nam się ono bladą krwią mieniło i jakby igłami kłuło nasze ciała.

Nienawidziliśmy powrotów do jawy, szponami nas za gardła trzymała. Czuliśmy, że czas się zapadł, że nic już nie może się wydarzyć, a dni przychodzą do nas z opóźnieniem, jak światło zgasłej gwiazdy, nieświadome swojej katastrofy. Jednak jest inaczej i wiem, że byłam dla ciebie Kasandrą, ale nowe mam teraz imię – nie było prawdy w ciemnych kłębach umysłu.

Wymykam się gołostopymi krokami do kuchni jasnej, porannej. Kuchnia się w poranki lubi, lubię się w porannej kuchni. Parę chwil przygotowań dzieli mnie od kawy, uśmiecham się w zniecierpliwieniu. Sumiennie zapamiętuję radość: koduję świeżość, którą mi w żyły wlewa, rejestruję gotowość do działania w napiętych mięśniach ciała. Przez palce przesypuję ziarnka z dalekich kenijskich krain i jeszcze ze trzy, gramatura musi się zgadzać, teraz jedno odejmę. Zaciskam dłoń na tej pięknej stali młynka, czuję, jak mnie onieśmiela jej nieskazitelność. Mielenie to ciężka praca, parę razy się zmęczone, parę razy zmienię ręce, zanim opór ustąpi. Syczy woda, zalewam wrzątkiem bambusowy filtr, z dzbanka ją potem niesmaczną wylewam. Wsympuję zmielone ziarna, zalewam przestudzoną wodą – nie można zbyt ciepłą kawę katować. Trzy minuty trwa proces parzenia: woda znika jak deszcz w piasku, kroplami przelewa się do szkła już w nowej postaci. Pamiętam, trzynastozgłoskowo Mistrz to w poezję zamieniał, a to, wiesz, była epopcja, więc to jest ważne. Rozlewam napój do białych kubków, podkreślają jego ciemny czar. W domu już pachnie wspólną codziennością, pachnie drzewami, kwiatami i ziemią. Skup się na chwilę, czy potrafisz szczęście z tego ułożyć.

Siadamy, nogi w kokardę układam, ale kawa przypomina o naszej dorosłości. Dzieciom kawy pić nie wolno, a nam wolno i wolno nam wszystko, więc decyduj, co byś chciał. Podejdź zupełnie blisko, przyłóż mi usta do ucha, szepnij, jak nie potrafisz głośno. Wiem, nie zawsze potrafimy głośno, nie potrafimy blisko, ja też się czasem boję, choć teraz łagodniej, już nie tak potwornie. Ile rzeczy odmówiliśmy sobie ze strachu przed bólem, czy mógłbyś za mnie policzyć. Mówią, czas leczy rany: boli i przestaje, a mnie kiedyś zabolalo i już nie przestało. Wtedy smutek bezkształt przepaści przyjmuje i codziennie od nowa trzeba się trzymać, żeby znów w nią nie wpaść. Ale, widzisz, ta kawa wciąż jest pyszna, bo jak słońce wschodzi, tak świat nie przestaje istnieć, tylko my czasem znikamy. Tak małe biorę tyki, że nic prawie w kubku nie ubywa, jeszcze wiele dni przed nami.

Długo się bałam każdego złego samopoczucia, bo tak to chyba bywa, że jak ktoś w morzu tonął, to nawet kałuży potrafi się przestraszyć. Dlatego tak lubię, jak uśmiechasz się, kiedy ja psioczę, i że rozbawia cię to moje czasem zwątpienie, bo ja wtedy widzę, że to krople, a nie wodospad, i przez chwilę przepaść jakby się zasklepia.

Pod oknem kwitną bzy. Ich świeża woń wkrada nam się w zakamarki domu. Nie pierwszy raz czuję, nie pierwszy zapominam, czy potrafisz w pamięci zapach odtworzyć. On teraz jeszcze bardziej nas tu uobecnia, bo bzy pachną moimi blond włosami i naszymi splecionymi dłońmi i widzę twoją minę, myślisz: kliwość, ale widzę, jak ci uśmiech na twarzy zażenowanie wypiera. Daj się jeszcze bardziej temu uwieść: zbiegnijmy po schodach prędkimi nogami, nogami posiniaczonymi od zabaw na podwórku, ale nie, to kiedyś było, teraz ostrożnie kroki stawiamy. Otwierają się drzwi klatki schodowej na to świegoczące ptasim śpiewem powietrze i można przez chwilę zapomnieć, że teraz tacy jesteśmy roztropni. Idziemy nie wiadomo dokąd, pod palcami mi uciekają białe płatki małe jak łezki. Czuję ciepło rozgrzanego betonu, ślady na zawsze na nim zostawiamy. Spójrz w niebo i pomyśl, że tam się wszystko pisze, bo czas, najdroższy, płynie wertykalnie. Pomyśl o tym, że każdy dotyk to już gdzieś na zawsze, widzisz, wszystko w istocie jest prawdziwsze niż nasze złudne o tym wrażenia. Świat nam za plecami nie znika, nie próbuj się od niego odwracać, i zdarzenia nie znikają przez twoją o nich niepamięć: chciałbyś zignorować; nic na to nie zaradzisz. Poczuj odpowiedzialność swojego istnienia, ale obiecuję, poczujesz też, że istniejesz. Pamiętasz, ja kiedyś pyłam, bo tak myślałam, jestem zbudowana, ale włóż mi palce między żebra, policz klawiaturę kości i przypatrz się uważnie, cała jestem w sieci błękitnych żyłek, zbliż się jeszcze, poczuj, że oddycham, ja naprawdę tu przy tobie jestem.

Wiem, jak trudno utożsamić się z każdym ze swoich dziesięciu palców. Czy gdy widzisz kość biodrową, myślisz, że to ty? Czy boisz się, że nie ma mnie w tym ramieniu, za które próbujesz mnie do siebie przyciągnąć? Ręce mogą odpaść, czy wtedy mniej będziemy sobą, czy ręk dusza gdzieś się w nas przeniesie, czy możesz mi teraz na to odpowiedzieć. Nadmiernie jednak mnie to nie zajmuje, bo wierzę, że wszystkiego wiedzieć

nie możemy, wierzę, że wszystkiego wiedzieć nie musimy. Tyle jest czasów poza naszą pamięcią, tyle jest miejsc poza naszym ciałem.

Chodź, wejdziemy tu, kupimy coś do picia. Chciałabym, żeby było chłodne i słodkie. Chciałabym wargi sobie ssać i czuć owocowy smak długo po przełknięciu. Nie chcę zostawać tu sama i czekać na ciebie. Wejdźmy razem, pozwól mi choć jeden dzień cię z oczu nie tracić. Widzę swoje opalone uda, jak wylaniają się kolejno spod dzinsowej spódnicy i odsłaniają cienkie nadgarstki, w harmonijkę zwiijając rękaw, i dłonie opieram na twoich uskrzydłonych łopatkami plecach, szyję masz pochyloną. Nie dziwi mi się, chciałabym się przez chwilę za tobą schować, stań murem przede mną, czy siłą możesz wzrosnąć, czy moje czoło oparte na twoim kręgosłupie mięśnie ci napina, głowę ci podnosi.

Nie potrafię sobie przypomnieć, jak to było, kiedy cię nie znałam, kim ja byłam, zanim mi się wydarzyłeś. Tak mi smutno, że ta rozmowa jest niemożliwa, że nigdy się nie dowiesz, kim ty we mnie jesteś. I wiem: potrafię być ślepa na ciebie w tobie, czy my kiedykolwiek byliśmy tak naprawdę razem, czy tylko sobie siebie nawzajem na własność ukradliśmy albo z samotności z samych siebie nawzajem się wyodrębniliśmy. Dlatego lubię cię, kiedy mi się nie podobasz, kiedy cię nie poznaję, bo we mnie inny siedzisz. Wtedy zaczynam myśleć, że jednak faktycznie prawdziwą jesteś osobą i że realnie poza mną istniejesz. Wczoraj zobaczyłam kawałki potłuczonego szkła na podłodze w kuchni, rozbiłeś, zgadłam, szklankę po mleku. Przyjemność mi sprawiło odtworzenie tej chwili – a więc robisz coś poza moim spojrzeniem, więc dzieje się twoje życie poza moim odbiorem, nie jesteś tylko moim systemem odczuć. Najdroższy, nie wnoś na mnie skargi, ja wiem, że samą siebie próbuję tobie udowodnić, a tymczasem myśl o twoim autotelizmie wciąż mnie tak zadziwia i budzi wątpliwości. Nie oskarżaj mnie, bo to w chwilach słabości, kiedy umysł niepilnowany ucieka na bezdroża, a jego bunt głupi, bo nieporządek ufności budzić nie może, nieporządek to przed stworzeniem, to gdzieś przed czasem i światem, a ja przeżywam ten ciepły maj i w nim pachnące bzy. I mimo wszystko coraz głębiej cię poznaję, a twoja złożoność moim przewidywaniami zupełnie się wymyka. Wymujesz mi z oczu solipsystyczne patrzenia, które mnie wciąż czasem w samotną wszechmoc wpędzają.

Pamiętam, raz leżałam na twoim ramieniu, bo głowa jakby ulepiona, by tam najlepiej pasować, ale ty nie patrzyłeś wtedy na mnie. Widzisz, zazdrość wtedy z kolei poczułam, że ty jesteś kimś sam sobie, a nie tylko wobec mnie. I przykrość mi się piekąca w klatce rozlała, że może ty marzysz, abym ja kimś innym była i żeby moja skóra czyimś innym była ciepłem. Ale z czasem cicho i pomału wybudowała się we mnie siła i rozbijają się o nią te strachy, które wciąż rzucają się na mnie. Jednak czasem, najdroższy, sączą się szczelinami i przepraszam, że muszę nas wtedy potwierdzać. W twoich oczach też przyłapię niekiedy tę niepewność, którą ruch i zmienność świata rodzi, że to wszystko piasek i po wodzie

nasze palce piszą, bo jaką odpowiedzialność możemy wziąć za przyszłość, która faktycznie przecież nie istnieje i tylko jest jakąś czasu potencją. Wołasz wtedy napiętym swoim ciałem, gwałtownymi sztywnymi ruchami: niech ktoś obieca szczęście bez końca, na końcu niech ktoś obieca szczęście, a powiedz mi, kochanie: czy gdyby ktoś obiecał, to byś mu uwierzył.

Ja mam tajemnicę, nadstaw ucha, bo zaraz ją ode mnie usłyszysz. Proszę, usłysz ją ode mnie. Widzisz, mi ktoś właśnie obiecał i nie byle kto, tylko taki, co jak mówi, to trzeba mu wierzyć. Mówi słowo, a ono jest i jest bardziej i pewniej niż ja czy ty. Często wydaje mi się, że to ja je trzymam i ja je w sobie utwierdzam, a tak naprawdę to ono mnie podnosi i konstituuje, a ja bez niego nawet jednego oddechu wziąć nie mogę. Ty o tym nie wiesz, ale ja ci teraz zdradzę, że to samo słowo i ciebie przy istnieniu podtrzymuje, bo ktoś się wzruszył nad tobą i powiedział, powstrzymam go, bo w niebyt idzie. Czy czujesz już, najdroższy, godność, jaką w ciebie włożono, która zamiast szpiku znalazła się w twoich kościach i bez której jak spalony budynek twój szkielet by runął. Ale klęska nas nie spotka, bo my się troski o siebie wyzbywamy i już nie swoim jesteśmy zmartwieniem. Słowa wybraliśmy do budowania, jak sami ze słów obietnicy jesteśmy zbudowani. Mów, bo ja bym chciała cię słuchać.

CAŁY TEKST JEST DOSTĘPNY W WYDANIU PAPIEROWYM „TEKSTUALIÓW” I W PRENUMERACIE INTERNETOWEJ CZASOPISMA.